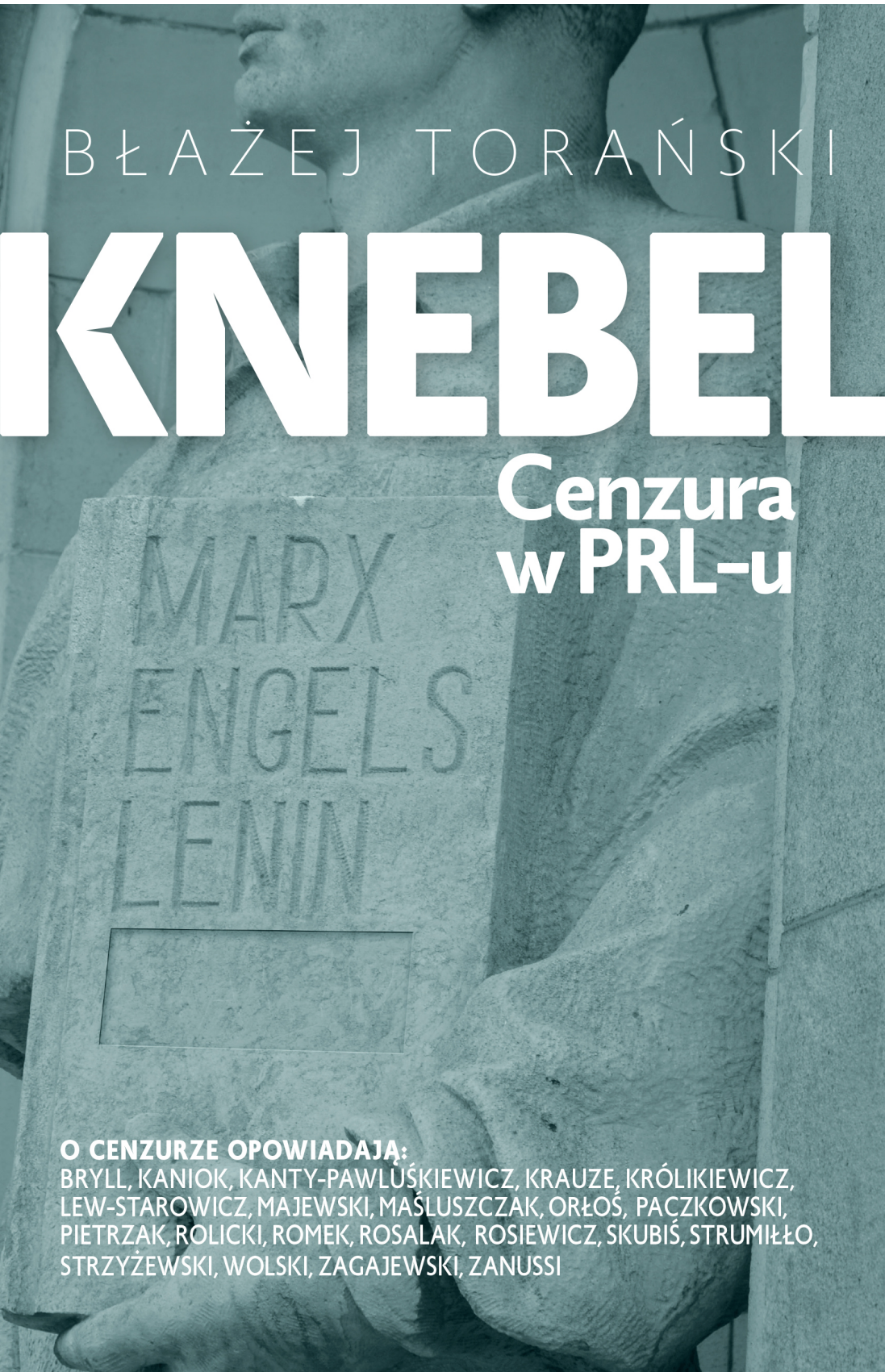


The background of the entire poster is a monochromatic, teal-toned photograph of a statue. The statue depicts a man from the chest up, facing slightly to the left. He is holding a large, rectangular stone tablet in front of his chest with both hands. Carved into the tablet are the names 'MARX', 'ENGELS', and 'LENIN' in large, capital letters, stacked vertically. Below these names is a smaller, empty rectangular frame. The statue's face is partially visible at the top of the frame.

BŁAŻEJ TORAŃSKI

KNEBEL

Cenzura
w PRL-u

O CENZURZE OPOWIADAJĄ:

BRYLL, KANIOK, KANTY-PAWLUŚKIEWICZ, KRAUZE, KRÓLIKIEWICZ,
LEW-STAROWICZ, MAJEWSKI, MAŚLUSZCZAK, ORŁOŚ, PACZKOWSKI,
PIETRZAK, ROLICKI, ROMEK, ROSALAK, ROSIEWICZ, SKUBIŚ, STRUMIŁO,
STRZYŻEWSKI, WOLSKI, ZAGAJEWSKI, ZANUSSI

KNEBEL

[Kup książkę](#)

BŁAŻEJ TORAŃSKI

KNEBEL

Cenzura
w PRL-u



[Kup książkę](#)

Okładka i projekt graficzny
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce
© Alicja Marchewicz

Zdjęcia
archiwa rozmówców Autora, Wikipedia commons, Wojciech Kondracki,
Tadeusz Zagożdźniński, Tomasz Gawałkiewicz, Henryk Rosiak,
Mikołaj Rutkowski, Andrzej Rybczyński, Edmund Uchymiak,
Tomasz Langda, Andrzej Zbraniecki

Redakcja i korekta
Ewa Popielarz

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

ISBN 978-83-946131-0-5

Copyright © by Błażej Torański
Copyright © for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
www.zonezero.pl

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



**NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA**



Kup książkę

**Agatce,
Dobrosi,
Iwusiowi**

Spis treści

Wstęp	
Rozmowy niekontrolowane.....	9
Rozmowa 1	
z prof. Zbigniewem Romkiem	
Bezkarni	13
Rozmowa 2	
z Kazimierzem Orłosiem	
Starąłem się nie kłamać	33
Rozmowa 3	
z Krzysztofem Zanussim	
Spryt.....	51
Rozmowa 4	
z Lechem Majewskim	
Cień Stalina	63
Rozmowa 5	
z Janem Pietrzakiem	
Świństwo, które nadal truje naród	67
Rozmowa 6	
z Adamem Zagajewskim	
Poza zasięgiem pióra	87
Rozmowa 7	
z Franciszkiem Maśluszczakiem	
Ocenzuowali czerwonego stwora.....	101
Rozmowa 8	
z Maciejem Rosalakiem	
Myszki nie były ćwokami.....	107

Rozmowa 9	
z Grzegorzem Królikiewiczem	
Wyklęty	115
Rozmowa 10	
z Andrzejem Strumiłło	
Niecenzuralny fallus	133
Rozmowa 11	
z Ernestem Bryllem	
Szczeliny	135
Rozmowa 12	
z Marcinem Wolskim	
Gra aluzją	159
Rozmowa 13	
z prof. Zbigniewem Lwem-Starowiczem	
Zakaz miłości francuskiej	177
Rozmowa 14	
z Janem Kantym Pawлуśkiewiczem	
Ordynarna transkrypcja radosnej pieśni	183
Rozmowa 15	
z Januszem Rolickim	
Ten, kto daje pieniądze, wymaga	187
Rozmowa 16	
z Andrzejem Rosiewiczem	
Śmierć medialna	203
Rozmowa 17	
z Andrzejem Krauze	
Jestem wolny, rysuję dla siebie	219
Rozmowa 18	
z prof. Andrzejem Paczkowskim	
Poza grą	229
Rozmowa 19	
z ks. Ireneuszem Skubisiem	
Jamnik pod szafą	237
Rozmowa 20	
z Eugeniuszem Kaniokiem	
Wewnętrznie rozdarty	247
Rozmowa 20	
z Tomaszem Strzyżewskim	
Antycenzor	261

Rozmowy niekontrolowane

Wszyscy wiemy, że istniała, że w dobie PRL kontrolowała każde słowo i każdy przekaz. Mimo to wydaje się, że nie do końca rozumiemy, jak dalece funkcjonowanie cenzury wypaczało obraz rzeczywistości, jak bardzo pod jej wpływem deformowana była świadomość i myślenie ówczesnych pokoleń. Częstokroć nie zdajemy sobie sprawy, jaką szkodę wyrządził system cenzury kulturze, nauce, sztuce, całemu społeczeństwu. Nierzadko w III RP formułowane są opinie, iż cenzura w PRL była jakoby gwarantem wysokiego poziomu kultury, dlatego przydałaby się współcześnie, by chronić nas przed szmirą i bylejakością. Tymczasem było wręcz odwrotnie; nikt w urzędzie cenzury nie dbał o walory estetyczne czy jakość publikowanych prac. Każda książka, gazeta, wiersz, piosenka, obraz, plakat, film, spektakl teatralny czy estradowy, audycja radiowa i telewizyjna, każdy powielany druk, zdjęcie, które przechodziły przez ręce cenzora w dobie PRL, musiały być zgodne z przyjętym szablonem, miały zgodnie z obowiązującymi wytycznymi wychwalać dokonania rządzących, sławić zwolenników socjalizmu, ganić perfidny kapitalizm, umacniać „przyjaźń” ze Związkiem Radzieckim i opisywać jego sukcesy. Obowiązywały wtedy: kanon poprawności politycznej, materialistyczna wizja świata, a w interpretacjach przeszłości „postępowe tradycje”, które miały dowieść, że ludzkość zmierza ku komunizmowi, czy to się komuś podoba, czy nie.

Jaką zatem mają wartość prace, dzieła artystyczne, które ukazały się przed 1990 rokiem, gdy nie mogły przeczyć obowiązującym standardom? Jak żyło się twórcom i uczonym w tamtej epoce? Co w ich dziełach było ich własnym pomysłem, a co ingerencją pracownika urzędu cenzury? A może ostateczny kształt dzieła to efekt perswazji redaktora naczelnego, kierownika zespołu filmowego bądź kierownika zakładu naukowego, którzy dysponowali różnorodnymi narzędziami nacisku i skutecznie nadzorowali proces twórczy, wpływając na jego treść i formę? W jakim stopniu w takich warunkach działała autocenzura? To tylko część ważnych pytań, na które trudno szukać odpowiedzi w słabo zachowanej dokumentacji, we wspomnieniach lub korespondencji prywatnej.

Błażej Toranski w prowadzonych rozmowach ze znanymi postaciami polskiej kultury, sztuki i nauki próbuje odtworzyć minione wydarzenia i atmosferę tamtych czasów. Pyta o doświadczenia z cenzurą, metody jej omijania, ale także o ustępstwa i kompromisy. Dziennikarski profesjonalizm autora wywiadów, znajomość twórczości rozmówców oraz ciekawość i dociekliwość powodują, iż poznajemy często mało znane okoliczności dotyczące ich życia i powstania znanych dzieł. Wszystko to powoduje, że książkę czyta się jednym tchem. Dzięki niej nie tylko możemy lepiej zrozumieć minioną epokę, lecz także poznać mechanizmy blokowania wolności słowa oraz manipulowania świadomością społeczną.

Choć współcześnie nie ma takiego urzędu cenzury, jaki funkcjonował w dobie PRL, nadal mamy do czynienia z naciskami na dziennikarzy, media, wydawców – by pisali tak, jak oczekują tego prominentni politycy, ludzie władzy czy przedstawiciele rozmaitych grup interesów. Wielu jest takich, którzy tylko pozornie cieszą się z demokracji i możliwości nieskrępowanego głoszenia rozmaitych poglądów. Faktycznie pluralizm życia politycznego czy kulturalnego ich tylko denerwuje, nie podejmują polemiki ze swymi oponentami, gdyż przekonani są, iż tylko oni mają monopol na głoszenie prawdy.

Warto zatem przeczytać tę książkę, aby dowiedzieć się o czasach i metodach blokowania swobody wypowiedzi w dobie PRL, ale także aby lepiej zrozumieć mechanizmy manipulowania informacją i umieć bronić pluralizmu poglądów.

prof. dr hab. Zbigniew Romek



Poznań 06.1956. Ostrzelany portret
I sekretarza KC PZPR Bolesława
Bieruta w jednym z gabinetów
w gmachu Urzędu ds. Bezpieczeństwa
Państwa w Poznaniu
soa PAP/Wojciech Kondracki

Kup książkę



OCENZUROWANO

**ZBIGNIEW
ROMEK**



Bezkarci

z prof. Zbigniewem Romkiem

historykiem z Polskiej Akademii Nauk, autorem publikacji naukowych o cenzurze

Cenzorzy byli magikami?

(Śmiech). W tym sensie, że byli wśród nich ludzie inteligentni, wnikliwie czytający i rozumiejący, co czytają. Potrafili najmniejszymi środkami, dopisując lub skreślając pojedyncze wyrazy, zmienić sens albo wymowę dzieła. Złagodzić, rozmyć krytykę albo tezę ogólną sprowadzić do jednego przypadku. Aby wydźwięk był taki, że nie chodzi o zasadę, o zjawisko, tylko o wyjątek. W tym sensie były to czary, zaklinanie rzeczywistości. Zmieniali teksty jak magicy. W gruncie rzeczy była to zwykła manipulacja.

Tomasz Strzyżewski, który ujawnił tajemnice komunistycznej cenzury, jednego ze swych kolegów, mistrzów cenzorskich, opisywał tak: „Brał ołówek delikatnie w palce i robił subtelny ruch, ewentualnie kilka ruchów i odmieniał całe teksty”. Na czym polegała magia cenzorów?

To nie była magia, tylko wyrafinowana gra. Presja na autora, żeby zmienić treści, zafałszować. Nie miało to nic wspólnego z czarami, a tym bardziej oczarowaniem. Polegało przede wszystkim na tym, aby nie dopuścić do publikacji informacji i poglądów, z których społeczeństwo mogłoby się czegoś o otaczającej rzeczywistości dowiedzieć. W nauce historii zakazane były liczne fakty, głównie związane z rolą Związku Radzieckiego w dziejach najnowszych, uzależnieniem od niego Polski, ale i z wydarzeniami z Rosji sprzed rewolucji październikowej.

Krytyka relacji polsko-radzieckich była interpretowana jako „godzenie w międzynarodowe interesy” PRL. Wnikliwej obserwacji poddana została historia PRL-u – informacje o tym, jak ta władza powstawała, jak funkcjonowała. Jakie były jej niepowodzenia, przekręty, działania antydemokratyczne. Cenzura eliminowała takie treści w sposób brutalny i zasadniczy. Najbardziej absurdalny był zakaz wprowadzania w błąd opinii publicznej przez podawanie wiadomości „niezgodnych z rzeczywistością”. Można by uznać za szlachetne, że urząd cenzorski powołano, aby pilnował prawdziwego opisu rzeczywistości. Problem w tym, że jedynie władza miała prawo do określania tej rzeczywistości. Żadne próby opisów niezgodnych z tą projekcją nie były przez cenzurę akceptowane. Jeśli autorzy próbowali dotrzeć do odbiorców przez aluzje, język ezopowy, cenzorzy starali się to wyczytać i zakazywali druku albo wymieniali poszczególne słowa, rozmydlali przekaz. Tym samym wykręcali ręce autorom, kneblowali im usta, aby nie mówili pełnej prawdy.

Na co cenzorzy, poza relacjami polsko-sowieckimi, byli najbardziej uczuleni? Na krytykę władzy i nieprzychylne dla niej lub ośmieszające podteksty?

Tak to można określić. Ale także na przeciwstawianie się ideologii marksistowskiej i propagandzie, którą władza szerzyła. Od 1948 roku aż do początku epoki Gierka dotyczyło to kształtowania się wizji świata, czyli marksizmu. Przekonania, że świat zmierza w jednym kierunku, w stronę socjalizmu, który miał być zwieńczeniem rozwoju. Że Polska Ludowa i władze komunistyczne to było coś najlepszego, co mogło spotkać nasz kraj. I jeśli nawet coś im nie wyjdzie, popełnią błędy, to trzeba im to wybaczyć, bo i tak kierunek jest słuszny.

W marcu 1968 roku protestujący studenci skandowali: „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie”.

Cokolwiek socjalizmowi, jako „jedynie słusznemu kierunkowi”, przeczyło, cenzorzy zwracali na to uwagę i cięli. Gierk z tej ideologii zaczął się wycofywać. W pewnym sensie mniej ważni stali się Marks, Engels i Lenin. Ich portrety nadal wisiły na ścianach, nikt ich nie zdejmował – choć w następnych latach zniknęły niepostrzeżenie – ale w publicznym obiegu język był mniej nasączony ideologią. Stał się bardziej

normalny, zwyczajny. Cenzorzy mieli trudniejsze zadanie. Wcześniej czuwali nad przestrzeganiem marksistowskiego światopoglądu, a teraz stanęli przed problemem wyszukiwania aluzji. I tak w połowie lat 70. pewien cenzor wstrzymał druk książki profesora Stanisława Byliny, byłego dyrektora Instytutu Historii PAN, o ruchach heretyckich w średniowieczu, o paleniu czarownic na stosach. Skojarzyły mu się z fabrykowanymi procesami prześladowanych robotników i KOR-em.

Analogii z rzeczywistością społeczno-polityczną dopatrywali się także w książkach o zwyczajach ludów afrykańskich czy o prehistorycznych gadach, jakby to były alegorie systemu totalitarnego na miarę *Folwarku zwierzęcego* Orwella.

Powiadano w urzędzie cenzury, że trzeba cenzurować nawet Marksa i Engelsa, bo ich krytyka ustroju kapitalistycznego i opisy funkcjonowania władzy zbyt przystają do współczesnych wydarzeń w PRL. Są jakby aktualne. Tekst Karola Marksa o pruskiej cenzurze był niemiłe widziany. Zresztą niecenzuralne mogło być wszystko, jeśli zostało przytoczone w nieodpowiednim momencie, kontekście, sytuacji. Przecież tak zwani rewizjoniści w partii komunistycznej walczyli słowami Marksa i zostali uznani za fałszywych interpretatorów. Przez kierownictwo partyjne i podległą im cenzurę byli zwalczani.

Na naradzie cenzorów w grudniu 1954 roku wytykano, że „cenzorzy nie czytają klasyków w całości, a niejednokrotnie trzeba się zastanowić, czy można wydać całość, czy może wybór. Nie ma pozycji żelaznych. Wszystko trzeba czytać okiem cenzora”. Wszędzie wietrzyli podstęp.

Cenzorzy byli szkoleni, przeważnie przez sekretarzy komitetów PZPR odpowiedzialnych za propagandę. O aktualnej sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce i na świecie prelegenci informowali ich rzetelnie. Wykładali prawdziwą historię, bez propagandowej czy ideologicznej otoczki. Nawet w latach stalinowskich korzystali z *Historii politycznej Polski 1864–1918* Henryka Wereszyckiego, podręcznika oficjalnie wyklętego. Wiele było zajęć praktycznych. Uczono ich na przykładach, na ingerencjach, na *Książce zapisów i zaleceń*. No i instruowano politycznie, jaki kierunek władzy winien być zachowany.

Tomasz Strzyżewski wspominał, że na jednym ze szkoleń w połowie epoki Gierka „prelegent był blady, wystraszony, nerwowo rozglądający się po ścianach, opowiadał o zbrodniach ukrywanych przez cenzurę. Przełożeni uważali, że cenzorzy powinni poznać prawdę, zanim zaczną w tę prawdę ingerować długopisem”.

Wykładowcy szczerze opowiadali im o wybrykach towarzyszy, na przykład Leszka Kołakowskiego, którego w październiku 1966 roku wyrzucono z partii. Sekretarz KC PZPR Artur Starewicz mówił w grudniu, jak sprawa filozofa jest skomplikowana i dla partii, i dla cenzury. Zastanawiał się, w jaki sposób w miarę sensownie wytłumaczyć opinii publicznej, dlaczego Kołakowski – do niedawna filar ideologiczny PZPR – został z niej usunięty. Ten przykład pokazuje, jak władze manipulowały informacją przy pomocy urzędu cenzury, aby przekonać społeczeństwo do swych decyzji, uzyskać efekt propagandowy.

W swojej książce *Cenzura a nauka historyczna w Polsce 1944–1970* napisał Pan, że Starewicz nie potępiał całej działalności Kołakowskiego. Podkreślał, że partia nadal uważa go za „wybitnego teoretyka” marksizmu, „wybitną osobistość”, ale nie może zgodzić się z jego polityczną publicystyką, którą uprawia on od 1956 roku.

Dodawał, że w partii pamiętają jego artykuły z „Po Prostu” i „Nowej Kultury”, które przekraczały ramy krytyki. Już wówczas jego poglądy i postawa polityczna dalekie były od linii partii. Mimo to był tolerowany ze względu na młody wiek i wybitne zdolności. Umożliwiono mu nawet wyjazd za granicę. Ale w październiku 1966 roku wygłosił odczyt na zebraniu ZMS Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Była to – zdaniem Artura Starewicza – „absolutna negacja naszego dorobku politycznego, społecznego i ekonomicznego osiągniętego w ostatnim dziesięcioleciu”. Zaznaczył, że tak partia ocenia postawę polityczną Kołakowskiego, bo jego działalność naukowa „w zasadzie nie budzi zastrzeżeń”. „Niektóre prace naukowe Kołakowskiego są bardzo wartościowe, inne są wątpliwe czy dyskusyjne, ale mieszczą się w dozwolonych ramach”. Wyliczał, jakie wnioski praktyczne dla cenzury z tego wynikają. Po pierwsze Leszek Kołakowski nie może nadal uprawiać działalności publicystycznej. Po drugie wobec

jego prac naukowych należy stosować takie same kryteria, jak w stosunku do publikacji innych autorów. Po trzecie jego utwory literackie „należy uważnie czytać”. Jeśli będą mieć wymowę polityczną, „należy je każdorazowo konsultować z KC PZPR”.

Co w praktyce oznaczała ta konsultacja?

Bezwzględny obowiązek uzyskania zgody Komitetu Centralnego na decyzje cenzorskie. Pokazuje to zwyczaj bezpośredniego sterowania urzędem cenzorskim przez KC PZPR w sprawach zawiłych, mało przejrzystych, kłopotliwych dla propagandy partii, trudnych do rozstrzygnięcia dla szeregowego cenzora. KC rezerwował sobie prawo bezpośredniego kierowania nożyczkami cenzorskimi.

Ale represje cenzury dotknęły nie tylko Kołakowskiego. Także dziewiętnastu osób, które protestowały przeciwko usunięciu go z partii.

Artur Starewicz nakazywał ich publikacje chwilowo zatrzymywać i sygnalizować. „Nie oznacza to, że wszystkie ich artykuły będą zdejmowane. Konieczna jest elastyczność, ale i operatywność w działaniu (...) Dyrektywy w tej sprawie będą się zmieniały wraz z rozwojem sytuacji i zmianą stanowiska tych ludzi (...) Reasumując, twórczość wymienionych pisarzy podlega wzmoczonej kontroli” – mówił.

Czym była „elastyczność”, o której wspominał partyjny propagandysta, Starewicz?

Chodziło o to, aby cenzorzy wykorzystywali wszelkie sytuacje do wzmocnienia rządów PZPR. Zresztą o zasadzie „elastycznego” działania cenzury w tym sensie mówiono przez wiele dziesięcioleci: w latach 40., 50. i 60.

O jakich jeszcze faktach historycznych słyszeli na szkoleniach cenzorzy?

Mówiono im o Katyniu. Wprost, bez pudru: kto i jak zabił. Dlaczego o tym informowano cenzorów? Żeby wiedzieli, do czego ewentualnie próbuje nawiązać autor, jaką aluzję prześmiewać. Cenzorzy musieli znać prawdę i ją znali. Zestawiali ją z aktualną linią polityczną partii, kierunkami i zadaniami propagandy. Że to wolno, a tego nie. Że to musi się składać jak

w układance. Aby publikowane treści przystawały do propagandy niczym fragmenty puzzli.

Zgodnie z aktualnymi odczuciami i nastrojami społecznymi? Żeby przewidywać reakcje czytelników, radiosłuchaczy, telewizorów? Także ich odbiór sztuki.

To było niezwykle trudne. Byli cenzorzy opowiadali, jak ciężko pracowało im się nad literaturą, sztuką, teatrem, filmami. Z wytropieniem ideologii w słowie pisanym czy mówionym było o wiele łatwiej aniżeli w obrazie, który daje o wiele więcej możliwości interpretacji. Andrzej Wajda wspominał, że mógł wiele przemycić poprzez obrazy trudne do zrecenzowania. Cenzura przepuściła sceny śmierci w *Popiele i diamentach*, gdzie najpierw młody akowiec Maciek Chełmicki wykonał wyrok na działaczu komunistycznym, a potem sam został zastrzelony na śmietniku. Cenzorzy ocenili, że „śmietnik historii” jest dobrym miejscem dla kogoś, kto podniósł rękę na władzę ludową. Ale widzowie odczytali tę scenę inaczej, jako oskarżenie nowego, komunistycznego ustroju, który zabił bohatera Powstania Warszawskiego. Cenzor miał wątpliwości, ale reżyser replikował: „Niepotrzebnie szuka pan dziury w całym. To nie jest tak”. I tłumaczył po swojemu. Potrafił się obronić. Cenzorzy chodzili też do kin. Patrzyli na odbiór, na reakcje. Kiedy publiczność klaskała lub gwizdała, reagowała nieprzyjaźnie, to film zdejmowano z ekranów. I tak bywało, kiedy cenzor podczas kolaudacji nie przewidział pewnych rzeczy. Pamiętam w czasach stanu wojennego, jak aktorzy zaczęli występować w teatrach, a nadal bojkotowali telewizję. W wygłaszanych na scenie tekstach akcentowali słowo „solidarność” bez jakiegokolwiek związku z treścią sztuki. Publiczność reagowała oklaskami. W takich sytuacjach cenzura była bezradna. Nie sposób było tego przewidzieć. Co najwyżej mogła zdjąć spektakl.

Gwałcenie sumień, dokonywanie zbrodni na wolnym słowie wymagało od cenzorów szczególnych kwalifikacji. Wystarczyła umiejętność tropienia ukrytych aluzji, politycznych kontekstów, zdolność analitycznego i syntetycznego myślenia?

Najważniejsze było syntetyczne myślenie. Wychwycenie wydźwięku tekstu. Odczytanie, do czego autor zmierza. Jaka jest generalna teza, wymowa.

Intencja autora.

Intencja, ale i wnioski, jakie można wysnuć niezależnie od intencji. W kontekście tego, co aktualnie dzieje się w kraju. Cenzor dostawał instrukcje, zalecenia o decyzjach, jakie władza chce przeforsować, sprawach, na których jej zależy, i ingerował, jeśli dostrzegał jakąś aluzję. Autor zwykle się zgadzał, bo nie widział potrzeby kruszenia kopii o synonim, który w jego ocenie specjalnie nie zmieniał sensu.

Cenzurę powszechnie kojarzy się ze zdejmowaniem spektakli lub tekstów. Ale dobrymi cenzorami nie byli nadgorliwcy, którzy wiele skreślali, wyrzucali fragmenty, przerabiali. Szefowie nie rozliczali ich z liczby ingerencji.

Nie z liczby, tylko z efektu. Do urzędu cenzury trafiały rzeczy już ocenzone w redakcjach, w wydawnictwach. Przez autorów, sekretarzy redakcji, redaktorów naczelnych. W wydawnictwach naukowych nie tylko nie mogły zostać opublikowane – ale nawet zaplanowane – trefne tematy, prace antysocjalistyczne. Już tam przycinano teksty, zatrzymywano. Żeby nie doszło do takiej sytuacji, że do cenzury trafi cokolwiek, co trzeba by zdjąć w całości.

Przychyla się Pan do porównania przez Tomasza Strzyżewskiego urzędu cenzury z komórką kontroli jakości w fabryce? Do zdania, że do gruntownej selekcji treści, cenzury wewnątrzredakcyjnej, dochodziło w wydawnictwach książkowych i naukowych, w redakcjach?

W każdym wydawnictwie, w każdej redakcji byli ludzie partyjni, którzy drżeli, czy nie stracą stanowisk w związku z tym, co się u nich publikuje. Tak samo reagowali dyrektorzy teatrów, muzeów, placówek wystawowych, plastycznych, kierownicy zespołów filmowych. Tak było w kulturze, nauce i sztuce. W moim Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk pracował prof. Tomasz Strzembosz. W Pracowni Dziejów Polski w II wojnie światowej zajmował się Armią Krajową. Wspominał, że najgorszą cenzurę wewnętrzną stosował ówczesny dyrektor Instytutu – profesor Czesław Madajczyk – i dlatego on sam przeniósł się do Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie mógł kontynuować studia. Ale tam też nie zdołał pisać wprost o Armii Krajowej. Pisał więc o ludności cywilnej okupowanej Warszawy (śmiech). Cenzura dopuszczała

opisywanie tragicznych losów ludności, która w czasie wojny bohatercko walczyła z okupantem. Ale pod którym kierunkiem? Kto ich inspirował? O tym, że była to Armia Krajowa, państwo podziemne, nie można było pisać. Najlepiej – z punktu widzenia cenzorów – jakby naukowcy podkreślali, jak ta ludność ginęła, jak daremne były jej wysiłki, bo „beznadziejny był rząd londyński”, który tym kierował.

Wielokrotnie naukowcy szli na kompromis. Kombinowali. „Ciekawe, że w ogóle nie przyszło mi wówczas do głowy, żeby nie iść na żaden kompromis i zrezygnować z druku książki” – przyznał historyk, prof. Tomasz Szarota, badacz historii XX wieku. Wszyscy autorzy szli na ustępstwa?

Zależy kiedy. PRL nie był jednolitym okresem. Łatwiej było nie iść na ustępstwa po powstaniu „Solidarności”. Etos pisanja prawdy urósł w środowiskach dziennikarzy, pisarzy, naukowców. Ludzie mieli dosyć gierkowskiej propagandy sukcesu i podlizywania się władzy, czego zresztą ta władza oczekiwała. Od sierpnia 1980 roku wiele się zmieniło. Autorzy, twórcy mniej się bali. Częściej się sprzeciwiali. Ale wcześniej – w latach 50. i 60. – nie było perspektywy, że coś się zmieni, że ustrój się rozleci. Nie było więc odwagi. Dziennikarze czy uczeni nie mieli nadziei, że utrzymają się w swoich zawodach, trwając w oporze i nie publikując. Jaką mieli alternatywę? Zającie się szyciem butów czy prowadzeniem taksówki? Zawodami niemającymi nic wspólnego z twórczością? Nie każdy był gotowy na takie wyrzeczenia, więc szli na ustępstwa.

Łamali się ludzie, kruszyły redakcje. O tym, jak pokorniał „Tygodnik Powszechny”, mówił w 1945 roku Roman Szydlowski, szef krakowskiej cenzury: „z początku tygodnik sprawiał nam duże trudności, po odbyciu kilku konferencji doszliśmy do współpracy, że obecnie żadnych tarć nie ma. «Tygodnik Powszechny» ustosunkowuje się pozytywnie i przeprowadza wszystkie zmiany, jakie proponujemy”. Tak szli na kompromis autorzy i redakcje?

Do końca lat 60. jak najbardziej. Ale zawsze były od tego jakieś wyjątki, jak Stefan Kisielewski, Zbigniew Herbert czy Paweł Jasienica.

Jasienica stale sprzeciwiał się cenzurze. W 1964 roku podpisał słynny „List 34” do premiera Józefa Cyrankiewicza. Prześladowano

go. Wyrzucono ze Związku Literatów Polskich. Zakazano publikacji. W pewnym okresie donosiło na niego co najmniej trzydziestu agentów.

Byli więc niepokorni. Autorytety moralne. Ale skazani byli na biedę i na wykluczenie. To była bardzo trudna rola i myślę, że na taką hardość, na życie na uboczu albo wręcz wyrzucenie poza margines twórczości mało kto się decydował. Zwłaszcza młodym autorom bardzo zależało na publikowaniu. Poza tym zdecydowana większość dziennikarzy, twórców, uczonych wierzyła w ten ustrój, w socjalizm, a jeżeli protestowali, to przeciwko „wypaczeniom”, błędom kierownictwa, a nie przeciwko systemowi. Pamiętajmy, że październik 1956 roku to czas buntu przeciwko stalinowskiemu dogmatyzmowi, a jednocześnie autentyczny tryumf Władysława Gomułki, komunisty wiernego swym ideałom.

W prapoczątkach cenzury, w latach 40. i 50., do pracy w niej trafiali ludzie z budowy. Robotnicy wierzący w marksizm. Lojalni wobec komunistycznej partii. Czy byli w stanie udźwignąć finezyjne zadania, jakie władza przed nimi postawiła?

To była próba zaadaptowania ludzi politycznie pewnych. Robotników z wyrobioną świadomością klasową. W latach 50., 60., a nawet 70. cenzorzy często nie mieli wyższego wykształcenia. Tomasz Strzyżewski też go nie miał.

Ale władza szybko zorientowała się, że ta praca wymaga kwalifikacji intelektualnych. Kierownik Głównego Urzędu Kontroli Prasy z Katowic żalił się w 1949 roku: „aparatusz jest słaby”. „Cenzor musi doskonale orientować się w sytuacji politycznej kraju jak i międzynarodowej (...). A tymczasem kogo my mamy? Tych, którzy łaskawie chcą do nas przyjść, a przychodzą głupi”.

No tak, ale szybko postanowili to zmienić, bo pojawiały się kompromitujące wpadki. Jeden z cenzorów zakwestionował napisany językiem staropolskim wiersz Mikołaja Reja. Uzasadnił to „złym językiem polskim”. Inny przed wydaniem zgody na publikację tekstu św. Tomasza z Akwinu poprosił o sprawdzenie, czy wydawca z Częstochowy jest w posiadaniu praw autorskich. Warto zauważyć, że te głupoty, nieujawniane na zewnątrz, wyłapywali sami cenzorzy w kontroli wtórnej i omawiali je na naradach krajowych. Działał więc

system samooczyszczania się urzędu. Ten aparat – szesnaście delegatur terenowych i warszawska centrala – funkcjonował dobrze. Szefowie w delegaturach sprawdzali młodych, uczyli ich, przyglądali się, jak czytają, analizują. Adepti zbierali doświadczenie pod okiem starszych. Rozsyłano biuletyny wewnętrzne o ingerencjach, także tych niepotrzebnych, nie-
trafionych, zbędnych. Socjolog, profesor Stanisław Ossowski – co wyczytałem w jednym protokołów – pytał cenzorów: „Jak panowie jesteście w stanie cenzurować teksty fachowe, do których nie jesteście przygotowani? Nie macie odpowiedniego wykształcenia”. Odpowiadali mu: „Jesteśmy kolektywem. Siadamy i wspólnie obradujemy nad problemami”. Cenzorzy rzeczywiście nie działali w pojedynkę. Nie byli pozostawieni sami sobie. Nigdy nie było takich sytuacji, jak na filmie fabularnym Wojciecha Marczewskiego *Ucieczka z kina „Wolność”*, że zwykły cenzor był przez przełożonego napiętnowany. Tam były przyjacielskie, koleżeńskie relacje. Organizowano imprezy integracyjne. Wspólnie jeździli na grzyby. Bo w tej pracy chodziło o kopanie piłki do tej samej bramki. Dlatego mieli nawet za zadanie zaprzyjaźnianie się z redaktorami czy uczonymi. Chcieli ich wychowywać. Przekonać do tego, aby razem budować socjalistyczną ojczyznę i wspierać propagandę. Dopuszczali krytykę, ale „konstruktywną”, która pokaże, że zdarzają się nieprawidłowości, ułomności, bo nie ma świętych. Ale sam system polityczny, jego konstrukcja, są poprawne. Zmierzamy w dobrym kierunku i nikt nie może nam tego popsuć. Dlatego nie dopuszczano krytyki niepożądaney, nazywanej „nihilistyczną”, która wskazywała, że to w socjalizmie jest błąd. Że to socjalizm psuje rzeczywistość. Że te idee, kierunki działania są beznadziejne. To było zakazane.

Zaprzyjaźniali się z autorami, aby zasugerowane w tekstach zmiany, poprawki ci uznawali za własne, a nie narzucone? Czy to nie było budowaniem wewnątrzredakcyjnej cenzury?

Jasne, że tak. Ale i budowaniem sposobu patrzenia na rzeczywistość: oczami partyjnego aparaczyka. Oczami władzy. Żeby czuć się współodpowiedzialnym za ten kraj, za wydarzenia. Żeby wciągnąć autorów do systemu budowania socjalistycznej świadomości. Równocześnie cenzorzy nie przyjaźnili się z agentami Służby Bezpieczeństwa. Bo tamci działali inaczej,

metodą siły: pałki, uderzenia. „My byliśmy wychowawcami inteligencji. Ludźmi, którzy wspólnie z władzą konstruowali socjalistyczną ideologię” – wspominali.

Z dziennikarzami, pisarzami, naukowcami pili wódkę? Chrzcili wzajemnie dzieci?

Takich przypadków, aby pili wódkę lub chrzcili dzieci (śmiej), nie znam. Ale czemu nie? Dążyli do zacieśniania więzi. Bezwzględnie. Tak wynikało z rozmów, jakie prowadziłem z byłymi cenzorami. Niewieloma, bo oni za bardzo rozmawiać nie chcieli. Ale ja też nie chciałem wypaczyć swojej badawczej wizji o ich interpretacje, prowadzone nadal gry. Żeby mnie nie ukierunkowali, abym nie poszedł fałszywym śladem. Ci, z którymi rozmawiałem, opowiadali, że samym redakcjom zależało, aby mieć dobre kontakty z cenzorami. Aby było mało skreśleń. Żeby utrzymać linię ideologiczną taką, jak trzeba. Ale nawet – żeby jakiś były cenzor pracował u nich na etacie (*sic*). Nie wykluczam więc i przyjaźni.

Cenzorzy udawali wobec redaktorów „życzliwych” doradców, a nawet „naiwnych, których łatwo wyprowadzić w pole”. To była gra. Nie ma Pan poczucia, że różni głupa?

Różną głupa to znaczy robić z siebie idiotę. W tym sensie tak. Grali naiwnych, życzliwych redaktorom. Manipulowali nimi. Ale może też byli przekonani, że taka właśnie jest ich rola? W imię dobra tego społeczeństwa, tej redakcji? Żeby skreśleń nie było? Żeby wreszcie człowieka socjalizmu stworzyć? Żeby Polacy myśleli w określony sposób?

Chcieli autorów przekonywać i zjednać, a nie straszyć. Na jednym ze szkoleń o inteligentach – dziennikarzach, pisarzach i twórcach – mówiono: „Trzeba z nimi umiejętnie postępować, nie pokazywać rogów cenzorskich, trzeba rozmawiać, czując się członkiem naszego obozu, umieć postępować z redaktorami”.

Chodziło o to, aby na nich nie krzyczeć. Nie stawiać się po drugiej stronie barykady. Jeden z byłych cenzorów mówił do autora: „Ja panu nie pozwolę kłamać w tym, co pan pisze. Tak musimy zmienić, aby to nie było kłamstwo. Musimy razem spotkać się na wierzchołku góry, która nazywa się prawdą”. Taką zajął postawę. Że niby jest wyższa potrzeba zmiany tekstu, który jest niezgodny z ideologią, z przesłaniem, z kierunkiem

myślenia, ale cenzor jest jego – autora – przyjacielem i w poprawieniu treści mu pomoże. Że nie ma między nimi żadnego konfliktu. Że wspólnie muszą do tego rezultatu dojść, bo społeczeństwo nie jest jeszcze dojrzałe, aby całą prawdę usłyszeć. Cenzorzy powtarzali stale, niczym lejtmotyw: „Wiem, że tak było, jak pan pisze. Że to jest prawda. Ale obaj, pan i ja, mamy misję wobec społeczeństwa. Mamy tych ludzi wspólnie wychować. Nie chcę więc, aby pan kłamał, ale nie możemy im też tego wprost powiedzieć. Będzie można to zrobić dopiero wtedy, kiedy zyskają świadomość. Jak staną się dojrzały, a te sprawy przestaną budzić tyle emocji”.

Kiedy zbudujemy „sowieckiego człowieka”?

Wtedy będzie mógł usłyszeć pełną prawdę.

Ale czy zabieganie o względy redaktorów nie wynikało też z lęku przed nimi? Píše Pan w swojej książce, że cenzorom „zalecano grzeczność, by nie ściągać na urząd kłopotliwych interwencji”. Nie wiedzieli, jakie znajomości mogą mieć redaktorzy w kręgach władzy.

Bali się nie samych dziennikarzy, tylko układów. Redaktorzy mieli swoich popleczników we władzach, w partii. Nigdy nie było wiadomo, czy któryś z nich przypadkiem nie zadzwoni i nie poskarży się na cenzurę, nie spróbuje interweniować, a to mogło być kłopotliwe. Dlatego asekurowali się, aby nie popaść w kłopoty. Ale nigdy też nie słyszałem, aby cenzor dostał po łapach za to, że był nadgorliwy. Że w czymś przesadził. Cenzorzy mieli świadomość bezkarności.

Nawet jak byli aroganczy i występowali z pozycji siły? Raz cenzor z Wrocławia, Bolesław Dacko, w ostrej rozmowie „z góry” potraktował autora, a ten zaczął się skarżyć u premiera, w KC, w związkach zawodowych.

No tak, ale szkolono ich, żeby tak nie postępować. W łódzkiej delegaturze cenzorka krzyczała na autorów. Myślę, że taki miała temperament. Ale zaczęto jej na to zwracać uwagę i na naradzie krajowej podano za przykład, że tak nie należy postępować. Oni byli posłuszni w tym, co im zalecano. Zdiscyplinowani. Nie było wśród nich samowolki. Zespołowość ich pracy polegała także na tym, że działali wedle narzuconego schematu.

Takie były zasady cenzorskiego *savoir-vivre'u*. Ale jak reagowali, kiedy autorzy, a nawet całe redakcje nie chciały z nimi współpracować?

Nie wiem, czy były takie sytuacje, że cały zespół nie chciał współpracować z cenzurą. Nie wyobrażam sobie tego. Zmieniło się to w latach 80., kiedy ustawa dopuszczała możliwość zaznaczania ingerencji. To była hardość, jeśli redakcja powoływała się na Dziennik Ustaw, bo cenzorzy starali się, aby nie było śladu ich interwencji. Uważali, że wystarczy nawias z trzema kropkami. Obiecywali wydawcom, że rzadziej będą ingerować, że cenzura będzie znośna. I większość redakcji – poza katolickimi, jak Znak, Więzy, „Tygodnik Powszechny” czy „Przegląd Powszechny” – godziło się nie zaznaczać. Nie skarżyły do sądu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, nie doprowadzały do procesów. Tytułom katolickim urząd za te zaznaczenia groził odebraniem koncesji.

Odebraniem koncesji władza groziła też do lat 50. Na działalność wydawniczą konieczna była zgoda władz administracyjnych. W jednej z wewnętrznych instrukcji nakazywano, aby niepokornym odebrać koncesję za karę na tydzień. „Będą wam lizać stopy” – dodawano.

Wtedy były jeszcze prywatne wydawnictwa i w ten sposób próbowano je ekonomicznie przydusić. Potem wszystko już było państwowe i niepokornym najpierw grożono palcem, a jeśli nie było to skuteczne – wywalano ich z pracy. Zresztą system był taki, że starannie dobierano potulnych redaktorów naczelnych, aby nie bruździli. Szli na pasku cenzury.

Przed 1981 rokiem ingerencji cenzorskich nie można było zastrząszyć.

Można się było odwoływać od decyzji delegatury do centrali, ale skuteczność była żadna. W aktach nie znalazłem nawet takich odwołań.

Zgoda urzędu na druk była trwała?

Obowiązywała na trzy miesiące. Jeśli przez ten czas z jakichkolwiek powodów tekst się nie ukazał, trzeba było ponownie prosić o zgodę. Bardzo często zdarzało się tak, że książki wydane w latach 40. dwadzieścia lat później nie mogły być wznowione, chociaż tekst był ten sam.

Zna Pan takie przypadki?

Słynna *Historia polityczna Polski 1864–1918* Henryka Wereszyckiego, opisująca tworzenie się politycznych ruchów – pilsudczyków i endeków – które potem wywarły tak silny wpływ na losy II Rzeczypospolitej. Autor rzeczowo poskładał fakty, zanim zrobił to emigracyjny historyk Władysław Pobóg-Malinowski. W latach 50. Wereszyckiego oskarżono o burżuazyjne poglądy i napiętnowano w środowisku naukowym, jednak po odwilży w 1956 roku ponownie planowano wydać jego dzieło. Cenzura go nie puściła, choć minął okres stalinowski, w którym ta książka była potępiona.

Pewności druku nie dawała nie tylko zgoda cenzury sprzed lat. Taką gwarancją nie był nawet fakt opublikowania wcześniej tej samej książki w Związku Sowieckim.

Czym innym był bowiem – jak trafnie oceniała władza komunistyczna w Polsce – odbiór obywateli radzieckich, a czym innym polskich. W radzieckich tekstach przechodziły pompacyjne opisy: o socjalizmie, o bohaterach ze spiżu, postaciach rewolucji. W Polsce te same teksty uważane były za prymitywne, ośmieszające władzę i ustrój. „Ostatnio słusznie krytykuje się papierowe sylwetki bohaterów powieści i sztuk teatralnych. Oczywiście siła oddziaływania takich utworów jest żadna. W staraniach o uniknięcie tego grzechu, w staraniach o pokazanie pełnokrwistego, przekonywającego pozytywnego bohatera utworu znowu idzie się czasem po linii najmniejszego oporu i np. działacza partyjnego malują jako słabego, obciążonego wieloma błędami, młodego człowieka, który nie wiadomo w jaki sposób może pomóc rewolucyjnym przemianom” – mówiono na szkoleniu cenzorów w czerwcu 1954 roku.

Cenzura unikała groteski?

Wyrażanej przez przesadne, wiernopoddające teksty. Tak się zdarzało w okresie stalinowskim, kiedy wydawało się, że w propagandzie, wynoszącej socjalizm ponad poziom, można powiedzieć wszystko, co popiera władzę, i nie zostanie to skreślone. Tymczasem cenzura nie dopuściła do publikacji hasła: „II Zjazd [PZPR] – to twarde, męskie spojrzenie w krecią twarz międzynarodowego imperializmu”. Uznano, że jest zbyt śmieszne. Albo innego: „Hebel jest znacznie skuteczniejszą bronią niż bomba atomowa. Heblem walczę z imperializmem”. Zdjęła też podpis

pod zdjęciem przodownika pracy: „Hieronim Alama nie zawsze ma czas, aby się ogolić, co widać na zdjęciu. Nie dziwny się temu: fala mrozów, jaka przechodziła przez Polskę, kazała mu oddać wszystkie siły dla dobra komunikacji miejskiej”. Widziano, że to przesada, że nie buduje ruchu przodowników pracy, tylko go ośmiesza. Że cierpi na tym etos robotnika, który – wedle propagandy – powinien być czysty, ogolony...

W 1966 roku „Polityka” nie mogła przedrukować z radzieckiego magazynu „Novyj Mir” opowiadań Borysa Mieżajewa *Z życia Fiodora Kuźmina o tragicznej sytuacji w sowieckich kołchozach w latach 1953-1956.*

Urząd cenzury odmówił, uzasadniając, że „reakcja czytelnika radzieckiego jest inna niż polskiego”. Chodziło o to, że ruch kołchozowy był w Polsce uznany za głupotę. Tam to była krytyka, w ramach systemu, jakiegoś pojedynczego przypadku. W Polsce mogło to być odczytane – tak sobie myślę – jako krytyka całego systemu upaństwowienia ziemi. Cenzorzy nie zgodzili się na druk, bo u nas inna była tego wymowa.

Ale była to też reporterska prawda o dramacie kołchozów.

Ten przykład pokazuje, jakie tam popełniono błędy i co by nas czekało, gdyby wprowadzono w Polsce kołchozy. Nie dałoby się też wytłumaczyć, dlaczego Związek Radziecki, mając bogatą ziemię ukraińską, importuje zboże. Już w końcu lat 80., u zmięchcenia cenzury, ukazały się wspomnienia Władysława Gomułki. Opisywał, jak chłopci radzieccy napadają na pociągi, chodzą po dachach wagonów i haczykami wyciągają walizki. Kojarzył to z systemem kołchozowym.

Pierwszy urząd cenzury w PRL – Centralne Biuro Kontroli Prasy – powołano w styczniu 1945 roku zgodnie z dyrektywami radzieckimi. Stworzyli je pracownicy sowieckiej cenzury (Gławlitu) Piotr Gładin i Kazimierz Jarmuż. Ściągnął ich z Moskwy Jakub Berman, zaufany Bolesława Bieruta, zwolennik wprowadzenia w Polsce radzieckich metod rządzenia. Ale Sowietom nie narzucili Polakom, jak w praktyce należy cenzurować. Nie ma też dowodów na bieżącą współpracę Gławlitu z polskim urzędem cenzury.

Nie ma. Ale zasady i regulaminy wskazywały, jak ten urząd ma działać. Pierwszy urząd cenzury tworzył, jeszcze z ramienia

PKWN, Jerzy Borejsza. Był szczerze oddany ideologii komunistycznej, ale daleki od interpretacji stalinowskiej, otwarty na rozmaite wpływy kulturowe i intelektualne. Pragnął przekonywać, a nie zmuszać Polaków do socjalizmu.

Uznaje się go za pierwszego cenzora PRL. Wierzył, że można zbudować w Polsce socjalizm na demokratycznych podstawach.

Stalin mówił o demokratycznej, wolnej, silnej Polsce. Borejsza uległ złudzeniu, że jest możliwa u nas demokracja w większym stopniu aniżeli w Związku Radzieckim. Że nie będziemy kopią. Przygotował projekt dekretu prasowego, zakładającego liberalne zasady kontroli wolności słowa. Zgodnie z nim redaktorami naczelnymi mogli być tylko Polacy. Czyli: absolutnie nie Rosjanie. A przecież wtedy, w 1944 roku, zalewała Polskę fala „inteligencji radzieckiej”. Ponadto system rejestracji wydawnictw, uzyskiwania koncesji, miał być bardzo uproszczony. Wystarczyło tylko złożyć deklarację i jeśli w ciągu tygodnia nie przyszedł zakaz, można było wydawać pismo. Borejsza wzorował się na przedwojennym systemie polskiej cenzury: nie prewencyjnej, tylko represyjnej. Urząd ewentualnie ingerował już po wydaniu gazety czy książki.

Borejsza – brat Józefa Różańskiego, oficera NKWD, stalinowskiego zbrodniarza – był niepoprawnym idealistą?

Kiedy syn Jerzego Borejszy przeczytał fragment mojej książki, skomentował: „Co też mojemu ojcu odbiło? Czy nie zdawał sobie sprawy, w jakim systemie funkcjonuje?”. Mnie się zdaje, że on uwierzył w grę Stalina. Ale to nie jest tak, że Stalin w stosunku do Polski od początku miał wyraźny cel, który realizował. On nie wiedział, co w tej Polsce tak naprawdę będzie.

Czy Polska stanie się szesnastą republiką Związku Radzieckiego, czy też powstanie w niej jakiś rodzaj demokracji burżuazyjnej?

Wszystko zależało od tego, na co mu alianci zachodni pozwolą. Stalin w tamtych czasach udawał demokratę. Mówił, że chce demokratycznej Polski, wolnych wyborów i... wolności słowa.

W czasie PKWN, w 1944 roku, kiedy redaktorzy i wydawcy konsultowali się z Borejszą, co można drukować, pytał tylko,

czy w tekście nie ma nic przeciwko Związkowi Radzieckiemu i „czy nie ma krytyki obywatela Bieruta”. Jeśli nie, to drukujcie! – odpowiadał. Tak kreślił granice wolności słowa.

Takie są relacje z jego ingerencji cenzorskich. Wiemy też z dokumentów, że był promotorem inteligencji myślącej w różny sposób. Ale na pewno nie antyradzieckiej. Był redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”, stworzył Czytelnika, spółdzielnię wydającą gazety, organizującą kolportaż, tworzącą sieć kiosków, księgarń, bibliotek, drukarnie, zachęcającą dziennikarzy, literatów i naukowców do współpracy z nową, komunistyczną władzą. Borejsza ściągął do kraju inteligencję z emigracji, np. Juliana Tuwima. Mamił ich, że ideologia nie odgrywa roli, że musimy tylko dobrze ułożyć stosunki ze Związkiem Radzieckim, bo taki jest układ, to jest nasz sojusznik, trzeba zmienić nastroje antyradzieckie. A najlepiej w publikacjach unikać tej tematyki. Budujmy Polskę i wolność słowa. Szybko mu to jednak przeszło. Wycofał się ze swego projektu liberalnej cenzury po kilku miesiącach.

Gładin i Jarmuż wprowadzili cenzurę na modłę radziecką. Ale zdecydowana większość polskiej inteligencji była antysowiecka.

Z pewnością. Inteligencja nie akceptowała stalinowskiego zamordyzmu i prymitywizmu, który w Związku Radzieckim się panoszył. Inteligencję zgładzono, zamordowano, wyrzuciono, zesłano na Sybir. Tego w Polsce nie akceptowano nawet wśród komunistów.

Chyba nie tylko inteligencja, ale większość Polaków była nastawiona antysowiecko.

W jednej z gazet cenzura przepuściła zdjęcie Konstantego Rokossowskiego w mundurze marszałka Związku Radzieckiego. Władze komunistyczne doskonale zdawały sobie sprawę z tradycyjnej niechęci większości Polaków do Moskwy, a co za tym idzie – do mianowania marszałkiem Polski i ministrem obrony radzieckiego generała. Publikacja zdjęcia Rokossowskiego w mundurze Armii Czerwonej mogła utwierdzać Polaków w ich antyradzieckim nastawieniu. Urząd Bezpieczeństwa aresztował cenzora, uznając, że to dywersja. Z innymi represjami wobec cenzorów w Polsce nie spotkałem się. No, może ktoś wyrzucono z pracy.

Gławlit zbudował w 1945 roku fundamenty cenzury. Jej metody nie zmieniły się do kwietnia 1990 roku, do likwidacji Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

Tak twierdzą. Cenzura naginała się do dyrektyw partyjnych. Raz była zastrzona, raz bardziej liberalna. Ale wszystko było uzależnione od taktyki władzy, najpierw PPR potem PZPR. Cenzura była prawą ręką propagandy, w kształtowaniu wizerunku partii rządzącej i wszystkich problemów, które przedstawiano społeczeństwu za pomocą mediów. Słowa pisanego i mówionego.

Cenzor dzień pracy zaczynał od lektury „Trybuny Ludu”?

Jakby Pan przy tym był. Czytali „Trybunę Ludu”, „Nowe Drogi”, materiały szkoleniowe w biuletynach wewnętrznych. W Warszawie spotykali się naczelnicy delegatur. Ze zjazdów sporządzano protokoły. Rozsyłano je potem po wszystkich urzędach cenzorskich.

Cenzorzy byli kastą wybranych? Dostawali, jak aparaczczycy PZPR, mieszkania, talony na samochody, kupowali w specjalnych sklepach za „żółtymi firankami”?

Korzystali z tego. Ale przede wszystkim mieli gwarancję bezkarności.

Niczym immunitety poselskie? Chce Pan powiedzieć, że jak gliniarz z drogówki zatrzymał cenzora prowadzącego auto po pijaku, to puszczał go wolno?

Tak. W latach 70. na jednym ze szkoleń mówiono im, że jeśli będą mieli jakieś kłopoty z władzą, to niech nie tylko pokażą legitymację – co już działało – ale także powinni to zasygnalizować do władz centrali, które będą interweniować. To było skuteczne.

Wykorzystywali to?

Jak najbardziej. Wystarczyło wykonać telefon.

Nawet jakby cenzor kogoś zamordował?

Nie znam takiego przypadku, ale myślę, że i w takiej sytuacji by się wywinął.



Warszawa 1968-03-01. Uniwersytet
Warszawski, Pałac Tyszkiewiczów.
Zamieszki studenckie
tz/soa PAP/Tadeusz Zagoździński

[Kup książkę](#)